XXIII. Kraków, 1 marca 1920 r. Nr. 5.



„BOCIAN“

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 M. 97 fen.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny) Telefon Nr. 479

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień“, Łódź, Piotrkowska 81,

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej M. 1·40, na miejscu specyalnie zastrzeżonem M. 2, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy M. 2·80, za wiersz petitowy w części redakcyjnej M. 7.

Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 2 M. 10 f. = 3 Kor.



— Hrabia Artur pisze mi, że jechał do Krakowa autem, ale benzyna mu wyszła i utknął w drodze.
— To jest tak zawsze z tymi starymi panami!... Benzyna się skończyła i aparat przestał funkcyonować!...

Od Wydawnictwa.

Z dniem 1 lutego b. r. zarząd poczt i telegrafów wprowadził na całym obszarze państwa polskiego przy wszelkich wpłatach i wypłatach jedynie walutę markową. Wszyscy nowi P. T. Abonenci, uiszczając prenumeratę, muszą ja obecnie przeliczać na marki. Równocześnie zarząd poczt podniósł opłaty pocztowe na obszarze Małopolski i byłej okupacyi austryackiej z koron na marki.

Wprowadzenie ustawowej relacyi korony i marki, oraz podniesienie ceł do 900 procent przyniosło w życiu gospodarczem Małopolski dalsze, znaczne podrożenie artykułów, niezbędnych przy wydawnictwie dziennika, w szczególności papieru i farby drukarskiej. Podniosły się też ponownie płace personalu zecerskiego, który z powodu ustawowej relacyi otrzymał 25 procentową podwyżkę.

Z powyższych powodów Wydawnictwo „Bociana" zniewolone zostało do nowego uregulowania prenumeraty i oznaczenia jej w markach polskich.

Z dniem 1 marca b. r. cena pojedyńczego numeru tak w mieście, jak i na prowincyi, wynosić będzie 2 Mk. 10 f. = 3 K, kwartalnie 11 Mk 97 f, półrocznie 23 Mk 94 f, rocznie 47 Mk 88 f.

Dobroczynna.

— I jakże pani mecenasowa dobrodziejka bawiła się w karnawale?

— Nie najgorzej! — odpowiada zagadnięta na pytanie znajomego.

— Jeśli pan ciekawy — przerywa pan mecenas — to ja panu powiem, prowadziłem bowiem dokładną statystykę! Osiem zabaw publicznych, jedenaście herbat tańcujących, sześć pikników... To, panie, dobroczynna kobieta w całem tego słowa znaczeniu!... Śmiało mogę powiedzieć, że oddała swoje nogi niepodzielnie do ogólnego użytku i nie żałuje ich, o ile chodzi o otarcie łez nieszczęśliwym.

Spróbuj nim pokochasz.

– Więc zerwałaś z narzeczonym
To jest nieszlachetnie!
Tak mówiła Hela Meli.
Mela jej odetnie:

„Gdy zerwałam z tym azyatą
Muszę mieć powody.
Był coprawda dość majętny,
Niebrzydki i młody.

Lecz dwie wady miał szkaradne
Poznałam dość wcześnie,
On nietylko strasznie chrapał,
Lecz i kopał we śnie!

Przewidująca.

Na proszonym obiedzie znalazł się pewien młody człowiek obok damy w bardzo modnej sukni.

A nowa moda, jak zresztą wiadomo, polega na tem, że od dołu krótko, od góry głęboko, z tyłu mało, z przodu prawie nic, zapewne dlatego, aby niewieście dać sposobność „wystawienia" swych powabów na widok publiczny. Bo i pocóż je zresztą kryć?

Niewiasta była tedy wydekoltowana, że wyrazimy się prozaicznie, aż „do pępka", nic też dziwnego, że młodzian, jako że nie był z drzewa, mając takie sąsiedztwo, (w tem miejscu użyjemy zaś poetycznego wyrażenia...) cały zamienił się w oko.

Spostrzegła to niewiasta, a że miała czułe serce, kazała służącemu, aby jej przyniósł okrycie.

— Pani dobrodziejce zimno? — zapytał ciekawie młodzian, niezadowolony, że go pozbawiono tak miłego widoku.

— Nie, panie! — odpowiedziała — Lecz się boję, aby panu nie było... zbyt gorąco!

Miłe wspomnienie.

Do spowiedzi, jako że to czas wielkanocny się zbliża, a każdy grzesznik powinien się oczyścić ze swych nieprawości, by módz broić na nowo, przyszła i stara babina i wyznaje spowiednikowi ze skruchą całą litanię swych grzechów.

— I cóż dalej? — pyta spowiednik, gdy penitentka przerwała.

— Wojtek mnie uwiódł, proszę ojca duchownego! — odpowiada na to z drżeniem w głosie.

— Jakże to było?

W myśl polecenia podaje najdrobniejsze szczegóły, co jednak księdzu, prawdopodobnie ze względu na wiek spowiadającej się, jakoś się dziwnem wydaje, rzuca więc pytanie:

— A kiedyż to było?

— A będzie temu czterdzieści siedm roków na święty Jan!

— I teraz się dopiero przypomniało?

— Nie!... Ja o tem ciągle pamiętam i co rok przy świętej spowiedzi to powtarzam.

— A to poco?

— A bo to tak miło wspomnieć sobie, proszę ojca duchownego!..

Na poddaszu.

Na poddaszu światło mruga
Z małego okienka.
W pokoiku owym mieszka
Samotna panienka.
W to okienko się wpatruję
Przez długie wieczory.
Lecz panienka, gdy spać idzie,
Spuszcza w oknie story.
Raz panienka z okna story
Oddała do prania.
Dzisiaj będzie, tak myślałem,
Coś do oglądania.
Dotąd tylko przez firanki
Śledziłem ją szparką,
A dziś – okno zasłoniła
Męzką marynarką!...

Amerykański spadek.

(Zdarzenie, niestety, prawdziwe).

„I dni mu jakoś płynęły niesporo...
Resztka majątku — nędznych koron czworo!..."

Tak śpiewał ongiś natchniony poeta, ale tak było w samej rzeczy z panem Zygmuntem... Aż się za głowę złapał, gdy się o tem przekonał na własne oczy, zaglądnąwszy do portmonetki. Zrobiło mu się jakoś niewyraźnie koło serca, bo to pieniędzy trzeba coraz więcej, a nadzieje, skąd je wydrzeć, stają się z dnia na dzień coraz mniejsze.

Nie pozostało mu, chyba popełnić samobójstwo, albo się ożenić.

Jako człowiek do życia przywiązany, wybrał tę drugą ostateczność, wychodząc nadto z zasady, że nie taki straszny dyabeł, jak go malują i że można jeszcze, nawet w wojennym czasie znaleźć szczęście w małżeństwie i.. odpowiedni posag.

A miał już upatrzoną partyę, pannę Julię, córkę pana radcy, panienkę wprawdzie już od lat kilku pełnoletnią, ale prezentującą się bardzo sympatycznie. Odpowiadała wszelkim warunkom na żonę, według wymogów Hindusa „Jakąma być żona?" (patrz: *Kuryerek* z lutego...), choć kształtem nie przypominała bynajmniej młodego słonia. Zwłaszcza linia jej nosa, na którą się obecnie kładzie taką wagę, była bez zarzutów, a w miłej z nią harmonii zostawały i inne części ciała.

Co do posagu (*conditio, sine qua non* przyszłego szczęścia małżeńskiego...), to niezawodnie musiała go posiadać, pan radca bowiem uchodził za zamożnego człowieka, choć się paskiem nie bawił, ponadto wiedziano powszechnie, że ma bliskiego kuzyna szefem sekcyi w ministerstwie warszawskiem i ciotkę, zamężną za niezmiernie bogatym właścicielem plantacyi trzciny cukrowej na wyspie Kubie.

Zapewniona zatem z jednej strony protekcya, z drugiej spadek, po najdłuższem życiu kochanej cioci.

A czegoż do szczęścia więcej potrzeba?

Odbyło się zatem wszystko wedle obowiązujących przepisów, pan Zygmunt się oświadczył, został przyjęty z miłą chęcią, bo latka uciekały, a królewicz w złocistej karecie się nie zjawiał, i poprowadził pannę Julię do ołtarza, a stąd do małżeńskiej sypialni, aby, korzystając z długich, zimowych nocy, rozpocząć miodowy miesiąc.

Wszystko poszło jak z płatka, z posagiem jedynie było jakoś niewyraźnie. Pan radca oświadczył, że cały kapitał musiał uwięzić w jakiemś przedsiębiorstwie, mającem mu kiedyś przynieść miliony. Kapnął coś, ale niewiele, przypominając zięciowi słowa Hoovera, który ludy Europy nawoływał do pracy.

— Zresztą, po najdłuższem mem życiu — kończył — Julcia wszystko weźmie!... Ze sobą nic nie zabiorę!

— Tak!... Czekaj tatka latka, aż kobyłę wilki zjedzą! — mruknął pan Zygmunt, ale musiał się pogodzić z losem.

Miał w każdym razie dwa cele przed sobą: czekania na spadek po panu radcy i kochanej cioci z Ameryki — i prosił też w duchu Pana Boga, aby to ich „najdłuższe" życie trwało możliwie jak najkrócej.

Co do protekcyi pana szefa seksyi, to obiecał solennie, że się zajmie losem młodej pary i wyrobi panu Zygmuntowi jakąś popłatną posadę, ale nie zaraz. Radził cierpliwość aż się ułożą stosunki wewnętrzne w kraju.

— Czekam na spadek, poczekam i na protekcyę! — powiedział sobie pan Zygmunt i czekał cierpliwie, gdyż w tej pięknej cnocie był już od młodości należycie wyćwiczony.

Miodowy miesiąc pana Zygmunta — trwał tylko dni czternaście... Ani się nie oglądnął, jak dostał się pod pantofel energicznej swej małżonki, która ujęła w swe rączki ster rządów i zapowiedziała kategorycznie, że opozycyi nie znosi. Starał się początkowo przeprowadzić tu i tam swą wolę, ale pokazało się, że to, co go uczono o „silnej woli", to wierutna bajka, specyalnie, o ile rozchodzi się o nią u człowieka żonatego. Bardzo wierzgać nie mógł, by sobie nie zrazić rodziny swej żony i nie pozbawić się stosunków, protekcyi ministeryalnego kuzyna i spadku podwójnego. Pocieszał się myślą, że się to przecież poprawi. Zwłaszcza ten amerykański spadek nie wychodził mu z głowy i nieraz we śnie widział się już na okręcie, wiozącym go do Ameryki po złoto, pozostawione przez kochaną ciocię.

O małżeństwie panny Julii zawiadomiono ją też oficyalnie i z staropolską gościnnością zaproszono na wesele, wiedząc o tem, że nie przybędzie, ale spodziewając się za to cennego ślubnego podarunku.

Niestety, nadzieje zawiodły, przynajmniej na razie. Ciocia odpisała bardzo serdecznie, posyłając młodej parze swoje błogosławieństwo i oświadczając, że w niedługim czasie wybiera się do Europy, przywiezie zatem wówczas podarunki dla nowożeńców, obecnie boi się je wysyłać na los szczęścia.

Czekanie stało się odtąd drugą naturą pana Zygmunta. Czekał, sam nie wiedząc na co, ale



Wybredna.

Kupiec starszy, lecz majętny,
Ma niezmiernie czułe serce,
Które dał w całopaleniu
Eleganckiej swej kasyerce,
Sklep miał wielki i zasobny,
Sam był biegły w interesie,
To też każdy wiedział o tem,
Że interes zyski niesie!
Raz w ten sposób się oświadcza:
„Moja pani, czy panienko!
Chcę się żenić, a więc przyjmij
Mój interes wraz z mą ręką!“
Ale panna snać wybredna
Rzecze: „Na nic twe zapały,
Dla mnie ręka twa zaduża,
A interes twój za mały!“

Śpiączka

— Czy słyszałeś?... Pojawiła się w Krakowie śpiączka!

— Zapewne zaobserwowano ją w szpitalu?

— Nie!... Na posiedzeniu Rady miasta! Czytamy wyraźnie, że chory na śpiączkę, obudzony, zachowuje wprawdzie świadomość, ale jest apatyczny, na pytania odpowiada niechętnie i zapada znowu w sen. A to właśnie cecha charakterystyczna naszych niektórych ojców miasta, zwłaszcza tych starej daty...

Z filozofii życiowej.

— To jakiś idyota był, który porównał herbatę z winem!.. Wino im starsze, tem lepsze, a herbata?.. Tfu!... Szkoda gadać!...

Nieporozumienie.

(Dya'og podsłuchany).

Wiesz pan?... Moja córka straciła swój wianek!

— Która, panie radco?

— Najstarsza!

— Czy być może?... Ale to się zdarza w tych wojennych czasach. I w jakichże okolicznościach, jeśli można wiedzieć?

— Sama sobie z tego nie zdaje sprawy!... Tak przynajmniej mówi, a ja muszę jej wierzyć.

— I ma racyę! Taka chwila, to chwila zapomnienia, jakiejś psychicznej bezwładności, której się potem zawsze żałuje, ale w gruncie rzeczy nie jest się za nią nawet odpowiedzialnym.

— Ale to bieda, że taka chwila powtarza się u mojej córki zbyt często!

— Tak więc już zaszło daleko?... Żal mi pana serdecznie!

— Tak panie łaskawy!... Niema dnia aby gdzieś czegoś nie zostawiła, a jak gdzie coś schowa, to rozstąp się ziemio! Za miesiąc tego nie znajdzie!

— Nie rozumiem teraz słów pana radcy!... Cóż to zatem był za wianek?

— Ano ten, który chciała ósmego lutego puścić Wisłą do Gdańska. Kosztowało to kilkanaście koron i gdzieś dyabli wzięli... A pan o jakim wianku myślał?

— Ja, panie radco, byłem pewny, że tu rozchodziło się o coś zupełnie innego!... Teraz czasy takie niepewne, a młode panienki narażone są na tyle pokus...

Przezorna.

Pani radczyni znalazła się w towarzystwie, w którem jeden z weterynarzy, na zapytanie kogoś z obecnych, opowiadał jakie są u zwierząt objawy wścieklizny.

— Naprzykład pies — mówił — który tak często na tę słabość zapada, całem swem zachowaniem zwraca wówczas na siebie uwagę. Wody nie pije, domu się nie trzyma, ogon mu wisi...

Słysząc te słowa, pokiwała pani radczyni poważnie głową i rzekła do siebie:

— Weterynarz to człowiek uczony, więc się zna na tem!... Muszę ja mojego męża kazać zbadać przez jakiego specyalistę!...

Wątpliwe zadośćuczynienie.

Pani Blaszke z panią Paszke
Dwie sąsiadki, przyjaciółki,
Mają swoje wspólne troski,
Strych, piwnicę — też do spółki,
Gdy na strychu pani Blaszke
Szmaty swe rozwiesza ładnie,
Pani Paszke jej pilnuje
Czy jej czego nie ukradnie,
Idzie Paszke do piwnicy,
To jej przyjaciółka szczera
Pani Blaszke — kontroluje,
Czy jej węgli nie wybiera.
Pani Blaszke ma córeczkę
(Rzadko tak dziewczyny byczej),
Jest obecnie na kuracyi
Na klinice położniczej.
Pani Paszke ze współczuciem
Do sąsiadki się odzywa:
„Ach doprawdy pani Blaszke!
Pani jesteś nieszczęśliwa!..
Ale jedno niech pociesza,
Ja współczuję bardzo z panią,
Że córeczki uwodziciel
Dostał trzy miesiące za nią!..“
I cóż z tego? — rzecze Blaszke —
Choćby nawet dostał więcej,
Moja córka za łajdaka
Miała dziewięć aż miesięcy!

Trafna definicya.

— Łączy rozdzielone, podnosi upadłe, zastępuje nieobecne... I nie wiesz, co to jest?

— Nie!...

— Zatem ci powiem!... To przecież damski gorset!...

Nowy cech.

W Krakowie zawiązuje się cech paskarzy pod wezwaniem św. Michała. Wyznanie nie stanowi przeszkody w przyjęciu. Zgłoszenia osobiste lub na piśmie w Urzędzie walki z lichwą.

⊙ ⊙

---

tłumaczył sobie, że przecież kiedyś musi się doń szczęście zwrócić, ale nie „smutną twarzą“, tak jak dotąd.

Pozatem spędzał czas w biurze i w domu. W domu kłócił się ze żoną, w biurze z kolegami i stronami. W knajpce pokazywał się najwyżej raz na tydzień, gdyż na ten cel nie chciała oszczędna pani Julia wyznaczyć odpowiedniego kredytu, a dochodów bocznych nie było.

Ilekroć go kto zagadnął:

— A cóż tam słychać nowego?

— Nic! — odpowiadał spokojnie.

— A cóż pan porabia?

— Czekam na prezent ślubny z Ameryki, na spadek po teściu i ciotce i protekcyę, jaką mi przyrzekł wuj żony, szef sekcyi w ministerstwie warszawskiem!

— Bardzo miłe zajęcie...

— Ale się zbyt przeciąga! — kończył z miną niezadowoloną.

W międzyczasie przeniósł się pan radca w „dobrze zasłużony stan spoczynku... wiecznego“. Odprowadzono go na cmentarz rakowicki i złożono w grobowcu familijnym. Teraz dopiero pokazało się, że owe opowiadania o kapitałach, ulokowanych w bardzo rentownem przedsiębiorstwie, były bajką z tysiąca i jednej nocy. Prócz mebli, garderoby i „kwartału pośmiertnego“, który wystarczył zaledwie na pokrycie kosztów skromnego pogrzebu, pozostało wprawdzie kilka tysięcy koron, ale w ... austryackiej pożyczce wojennej, którą pan radca musiał swojego czasu subskrybować dla zadokumentowania swej c. k. lojalności.

Na pogrzebie był i pan szef sekcyi z Warszawy i nie omieszkał pocieszyć pana Zygmunta:

— Ja o kuzynie pamiętam!... Stosunki jednak dotąd się nie ułożyły... Mam nadzieję, że to już rychło nastąpi... Proszę czekać cierpliwie!

Czekał zatem, ale głównie na spadek po amerykańskiej ciotce (z prezentu ślubnego już zrezygnował!...). Ciotce przecież ani w głowie było umierać. Widocznie dobrze się jej działo między murzynami, wśród plantacyi trzciny cukrowej.

Gorzkniał zatem i tetryczał pan Zygmunt z dnia na dzień coraz bardziej, ale czekał, mając stale na myśli słowa filozofa: „Nadzieja matką głupich“...

\- - - - - - - - - - - - - - - -

Tydzień temu spotkałem pana Zygmunta. Miał minę bardziej kwaśną niż zwykle, co tłumaczyłem sobie coraz cięższymi warunkami życia. Szedł zamyślony, nie patrząc nawet na tych, którzy go mijali.

Zaciekawiony, co jest właściwie powodem tej zmiany, zagadnąłem go słowami:

— Witam kochanego pana!... A cóż tam nowego?

— Sługa!... A cóżby?... Nic!

— Cóż pan porabia?

Byłem pewny, że odpowie, jak dawniej, iż czeka na spadek z Ameryki, zdziwiłem się też, gdy odrzekł:

— Ot! Wegetuję z dnia na dzień, bo życiem tego nazwać nie można, i byłbym rad, by się to już raz skończyło!

— A któż weźmie ów amerykański spadek?

Machnął ręką, jak gdyby chcąc dać poznać, że mu na tem nic nie zależy...

— Ciotka zatem żyje? — badałem dalej.

— O tak!... Ma się doskonale, a cieszy się takim apetytem, że na jeden dzień potrzebuje więcej, niż ja przez cały tydzień!

— Zatem jest tutaj?

— Tak!... Na moje utrapienie!... Bo, trzeba panu wiedzieć, że te plantacye trzciny cukrowej to nie na Kubie, ale na... księżycu!... Była w Ameryce, tam owdowiała i pierwszym okrętem, który po wojnie zabrał emigrantów, bez dolara w kieszeni wyruszyła do Europy... I to akurat mnie musiała uszczęśliwić swem przybyciem!... Można się wściec, albo zwaryować, powiadam panu... A jakie wymogi i grymasy!...

— No, a prezent ślubny przywiozła?

— Tak!... Obeszłoby się jednak bez niego!... Wyobraź pan sobie, przywiozła nam swoją starą ukochaną papugę, która żre jeszcze więcej, niż ona!... Niema człowiek w domu chwili spokoju!... Gadają na przemianę żona i ciotka, a w wolnych chwilach drze się papuga!... Nawet w nocy nie mogę oka zmrużyć, gdyż ciotka zrywa się lub mówi przez sen... Ciągle się jej zdaje, że na jej cnotę czyha jakiś namiętny murzyn... Gdybym tak miał kawałek porządnego, przedwojennego sznurka...

— Żal mi pana! — przerwałem — W każdym razie zostaje jeszcze protekcya szefa sekcyi!

— Panie!... Teraz on jej sam potrzebuje!... Posłali go na zieloną trawę, gdyż miał tylko „domowe wykształcenie“ i strzelał bąki... I on gotów mi na kark zjechać!...

— Toś pan biedny!... Ale chodźmy „pod Obraz“ na kieliszek „Kokosznika“... Rozerwie się pan i zapomni na chwilę o tem, co dolega!

— A chodźmy!...





— Czy pani pozwoli sobie towarzyszyć?
— Pan daruje!... Ja jestem śpiewaczką i uznaję tylko towarzyszenie fortepianu, ale nie cymbałów!



— Pani prosiła, żeby pan zaczekał. Gdyby się panu nudziło, to tam w salonie są świeże — rachunki od krawcowej i szewca!



— List od kuzynka ukryję najlepiej za podwiązką. Tu przynajmniej mój mąż nigdy nie zagląda!...



— Jeżeli mnie kochasz, to kupisz mi nowy kostym. Jeżeli nie — to dobrze!.. Będę latała goło po ulicy, może w ten sposób wzbudzę litość w sercach innych mężczyzn!



— Dlaczego chcesz pan już uciekać?

— Bo widzi pani ja mam swoje przesądy i lada co mnie peszy... Ujrzałem właśnie ajenta policyi!..



— Twój mąż ma słuszność mówiąc, że umiesz kapitalnie całować!

— Mój kochany! to mówi nietylko mój mąż, ale wszyscy nasi znajomi!



— Boję się, żebym na schodach nie spotkał twego męża!

— Bądź spokojnym ... Jemu o tym czasie wolno chodzić tylko tylnymi schodami!



— I na cóż przydadzą się najcieńsze pończochy i najsilniejszy wiatr, kiedy jak na złość nikogo niema na ulicy!

Ferdek Eleuteryk.



Swiat się już wykopyrtnou całkiem z przeproszyniem do góry cybuchami, a jeżeli dotąd nie chodzimy na głowach, to ino skróś przyzwoitości.

Dawniej puskało się wianki na Wisłę w lecie i wieczór, a robiły to brzany, teroz dzieje się to w zimie, w samo połednie, a zabierają się do tygo chłopy i to takie poważne, jak radce mijskie, jednerały, prefesory.

Taką paradę mieliśmy w dniu ósmygo lutygo na okazanie radości, że się zbliżo wielgi post i bedom polskie śledzie, o ile je nom pozwoli łapać w Bałtyku Lord Drożdż. Ponieważ jest on wielgim przyjacielem naszygo narodu i staro się nom wszystko ułatwić, był na posiedzyniu Rady Najwyższyj wniosek stawiający, aby urządzić plebiscyt między śledziami i spytać sie je, do kogo chcą być należące.

Jo na tyj wiankowyj paradzie nie byłem będący, a to z tyj przyczyny, że przed tygodniem dałem swoje adachy do operacyji, a szpadała za zelówki sto koronek (w drodze łaski zminia je na sto marek...) bieroncy, mo hopy, bez cały tydziń urzondzo se blaumontag i kože czekać, aż bedzie mioł czas. Zreśtą ósmygo lutygo była bez cały dzień niedziela, a w niedzielę przed połedniem kuždy pobożny międzynarodowy katolik knaje na flaki. Nie pusknąłem tyž z owych powodów mego wianka, a taksamo była i moja Mańka czyniąca. Ona swój wianek pusknęła, ale nie pamięta, gdzie i kiedy.

Tako parada, to nie jest żodno parada, bo prócz godanio i śpiwanio, i to na zimnie, nie było nic, żadnyj magistrackiej wyżyrki, ani rautu. Wilgotności było wprawdzie dość, ale we Wiśle, a bez takowej możno sie być zupełnie obchodzącym.

Dopiero we środę, to jest jedynastygo, były moje adachy fertig, mógem tyż poknajać na prasowaną redutę do mijskiego tyjatru, gdzie se były rendez wues dające wszystkie, jak się to godo i grypso, warstwy naszygo społeczyństwa, ale najwięcyj między nimi gudłajów, którzy swymi brylantami byli zabawie blasku dodający... Taksator z Zakładu zastawniczygo godoł, że to towarzystwo, tak ino na oko, głębiej nie zaglądający, wortało kilkanaście milijonów marek według relacyji pana Grabskiego, markę za koronkę i czterdzieści trzy halerze liczący.

Patrząc na taką ubrylantowaną brzanę, aż się człekowi żal robiło, że to nie jigo lepszo połowa. Zaroz zaniósłby ją do zastawu na Śpitalnom i miołby w chałupie spokój, a w dolinie hopy.

Brzany, których było całe zatrzęsinie i to różnygo kalibru, doznały zawodu. Obiecowano im, że sem bedo mogły podyrdać na scynie, a tymczasem nici z tygo. Było dyrdanie, ale w jenszych ubikacyjach.

Twardszo płeć nie była tyż kontentna, ale z tygo powodu, że bufet oddano w przedsiębiorstwo z przeproszyniem panu od naszyj wiary. Antysemitniki cierpiały więc głód i pragninie, a i gudłaje mieli dość kwaśne miny.

Jeden z byłych radców cysarskich odezwoł się tyż do mnie:

— Koszer to ja mam w domu!... Ja wolałbym coś trefnego!... Chcecie asynilacyji, a nie dajecie do nij sposobności!...

Wytłumaczyłem mu, że jo do tygo nie byłem ręki przykładający, bo mnie do kumitetu zapomnieli zaprosić, zato w wielgim poście urządzę takigo tańcującygo śledzia, że klękojcie narody!

Ale trza, aby były śledzie i to nie takie drogie, bo teroz może se na taki zbytek pozwolić ino paskorz, a nie goły demokrata.

Karnawał był bez pączków, post będzie, jak się zdaje, bez śledzi, Wilganoc bez jajek i świniny — jednym słowem świat na opak!... I to ma być Polska?... Godołem rok tymu, że ją zaczynamy pod złą wróżbą, urządzając wybory do Syjmu bez kiełbasy i pokazuje się, że miołem recht, choć nie jestem prorokiem w spódnicy, jak ta paryska brzana, o któryj grypsołem w tamtym misioncu.

Ale to się zmini, trza ino mieć cierpliwość!...

Facecye o „koronowanych" głowach.

Syn panującego zdawał egzamin przed specyalną komisyą, złożoną z uczonych tego państwa.

Na zapytanie jednego z egzaminatorów, co jest powodem kolejnego następstwa po sobie dnia i nocy, odpowiedział:

— Słońce obraca sie około ziemi.

Odnośny profesor chciał sprostować błędne zapatrywania dostojnego ucznia, ale nie dopuścił go do głosu przewodniczący komisyi, mówiąc:

— Tak jest!... Wasza cesarska wysokość ma najzupełniejszą słuszność!... Wprawdzie Kopernik dowiódł, że jest inaczej, ale on się widocznie pomylił!...

W dzienniku urzędowym pewnego państwa pojawiło się sprostowanie urzędu marszałkowskiego następującej treści:

„Nie jest prawdziwą wiadomość, rozsiewana przez wrogo wobec rządu usposobione jednostki, jakoby w nocy spadła tarcza herbowa, wisząca nad łożem Najjaśniejszej Pani i zraniła w plecy Jej Dostojnego Małżonka. Najjaśniejszy Pan ma się zupełnie dobrze i wczoraj udzielał zwykłych posłuchań".

Nazajutrz pewien organ antirządowy ogłosił zaś:

„*A jednak prawda!* Faktem jest, że w sypialni naszej władczyni spadła w nocy tarcza herbowa, wisząca nad jej łóżkiem. Zranionym w plecy nie był jednak jej małżonek, lecz pierwszy adjutant przyboczny, rotmistrz gwardyi, hr. X. Stan zdrowia zranionego nie budzi poważniejszych obaw".

Książę-małżonek, mąż królowej Wilhelminy holenderskiej, tem się różni od innych panujących, że „czynności państwowe" załatwia przeważnie w nocy, dzień ma zaś zostawiony do własnej dyspozycyi.

W skład Rzeszy niemieckiej wchodzi takie mnóstwo różnego rodzaju królestw, księstw i księstewek, że stolice ich leżą od siebie w samej rzeczy „o miedzę".

I to było powodem, że raz groziło zerwanie stosunków dyplomatycznych między dwoma sąsiadującemi z sobą „państwami". Zona jednego z władców wyjeżdżała codziennie popołudniu na spacer, a woźnica strzelał tak głośno z bata, że to przeszkadzało w popołudniowej drzemce panującemu w sąsiedniem księstwie. Spór został przecież załatwiony w drodze dyplomatycznej.

Pewien kupiec wstrzymał szczęśliwie konie, unoszące w szalonym pędzie pojazd, w którym znajdowały się dzieci monarchy.

Zbawca wezwany został przed oblicze panującego, aby mu tenże mógł osobiście podziękować.

W toku rozmowy rzekł monarcha:

— Za ten czyn bohaterski nie minie pana zasłużona nagroda!... Czem pan jesteś z zawodu?

— Kupcem, najjaśniejszy panie! — odparł zagadnięty.

— Zatem mianuję pana dostawcą dworu, z uwolnieniem od taksy!... A czem pan handluje?

— Starą garderobą, najjaśniejszy panie!...

Z urzędowego biuletynu:

— Najjaśniejsza pani raczyła dziś w nocy powić najmiłościwiej potomka płci męskiej. Najjaśniejsza Położnica i dostojny Noworodek mają się dobrze.

Mieszkańców stolicy obudziło rano sto jeden strzałów armatnich. (Proch przed wojną był tani i służył przeważnie do objawiania radości...)

Był to znak, że na świat „raczył najmiłościwiej przyjść" następca tronu.

W pewnym domu mieszczańskim huk armat zbudził całą rodzinę. Słuchają wszyscy, armaty walą i walą... Wreszcie ustały.

— Sto jeden strzałów! — rzecze z radosną miną ojciec rodziny — Najjaśniejszy pan ma syna!

— To, tatusiu — pyta ciekawie jedno z dzieci — cesarz musi strzelić aż sto jeden razy, aby mieć syna?...

Poprawił się.

Słynny swojego czasu kaznodzieja wiedeński *Abraham a Santa Clara*, wyraził się raz podczas kazania, że wiedeńskie panie prowadzą tak niemoralny żywot, iż nie są warte, aby na nie napluć.

Wiedenki, zwłaszcza zaś damy z arystokracyi, tak się tem uczuły obrażone, że udały się ze skargą do arcybiskupa.

Ten wezwał do siebie winowajcę, zgromił go za jego postępek i kazał tę obrazę odwołać publicznie, tak, jak publicznie została popełnioną.

Posłuszny rozkazowi, uczynił to Abraham w czasie najbliższego kazania, mówiąc:

— Źle się wyraziłem poprzednio i to obraziło niewiasty!... Odwołuję zatem, co powiedziałem i twierdzę, że wiedenki warte są, aby na nie napluć!

Z listów Hermogenesa Klapy.

Najdrożsi!

Zrażony niewdzięcznością, jaką Francuzi okazali przy wyborze prezydenta memu przyjacielowi, staremu tygrysowi, miałem i ja zamiar zerwać z polityką i usunąć się w zacisze domowego życia. Niestety, łatwiej to powiedzieć, trudniej wykonać! Pokazało się, że moja obecność jest potrzebną we Włoszech.

Wybrałem się tam z tem większą ochotą, że w kraju Dantego, Petrarki, d'Annunzia, Tycyana, oślego salami i wermutu dotąd nigdy nie byłem, a wiele o nim czytałem. Zwłaszcza przeżycia Romea i Julii tak mi dotąd, choć zaawansowany jestem w batach, chodzą po głowie, że postanowiłem własnemi oczyma oglądnąć te miejsca, gdzie ci biedacy się kochali i tyle przecierpieli.

Jechałem przez Szwajcarye, gdyż miałem się tam spotkać z panem Paderewskim, nad to wypadało osobiście podziękować uniwersytetowi we Fryburgu, który zamianował mnie honorowym doktorem obojga abecadła za zasługi społeczne i literackie.

Wolałbym, co prawda, nagrodę Nobla, ale w każdym razie lepszy rydz, niż nic. A ja rydze bardzo lubię i zawsze o tem marzyłem, aby być rydzem i znaleźć swą Jadwigę.

Gdym się znalazł na ziemi włoskiej, przekonałem się, że owo lazurowe niebo Italii, o którem tak się rozpisują poeci, nawet ci, którzy tam nigdy nie byli, jest całkiem szare, a deszcz zupełnie taki mokry, jak w naszej Polsce. Pomyślałem sobie, że prawdopodobnie nie wiedziano o mem przybyciu i dlatego nie postarano się o pogodę.

Słowiki tutaj wprawdzie nie śpiewają, ale zato lokomotywy gwiżdżą jakoś weselej, niż gdzieindziej.

Udałem się prosto do Rzymu, gdzie miałem porozumieć się z rządem włoskim w sprawie dostarczenia Polsce makaronu i salami, a w Watykanie postarać się o kapelusz kardynalski dla księdza posła Okonia.

Ministra spraw zagranicznych nie zastałem, bawi bowiem stale, podobnie jak i inni wielcy dyplomaci, w Paryżu. Wogóle teraz politycy mierzą swą działalność na kilometry.

Włosi przyjęli mnie bardzo serdecznie. Uważają mnie za swego, zwłaszcza, że moje nazwisko brzmi trochę z włoska.

Zaraz nazajutrz po przybyciu do miasta, zbudowanego w samej rzeczy na siedmiu pagórkach, złożyłem wizytę w Kwirynale, aby się dowiedzieć o stanie zdrowia mego zacnego kolegi i przyjaciela, emerytowanego króla czarnogórskiego, Nikity, teścia króla Wiktora Emanuela.

Króla nie zastałem, przyjął mnie natomiast pierwszy kamerdyner królewski, prosząc, bym się w Rzymie rozgościł, jak u siebie w domu. Gdy mu na zapytanie jego (jak zauważyłem, Włosi są bardzo ciekawi...), co mnie nad Tyber sprowadza, oświadczyłem, jaki jest cel mej podróży (o kapeluszu naturalnie nie wspomniałem!...), pokiwał głową i rzekł:

— To będzie połączone z trudnościami!... Makaron robi się z mąki, mąkę zaś ze zboża, a tego nasi agraryusze nie dostarczają fabrykom, tylko puszczają na pasek!

— To zupełnie tak, jak i u nas! — zawołałem z radością — A co do salami?

— Także brak!... Osłów wprawdzie mamy dość i to rozmaitego rodzaju, dwunożnych i czteronożnych, ale do fabrykacyi salami używa się przeważnie psów, kotów i szczurów, a te zjedli doszczętnie Niemcy i Austryacy w czasie ofenzywy nad Piawą... Traktat wersalski przyznał nam za to odpowiednie odszkodowanie!

Te informacye zupełnie mi wystarczyły. Taki kamerdyner wie wszystko najlepiej, gdyż rano i wieczór, wdziewając i zdejmując swemu władcy buty, rozmawia z nim o najróżniejszych sprawach państwowych.

— Pan, *signore* Klapa, literat? — zapytał wkońcu!

— Tak! — odparłem z dumą.

— Ale pan wierszy nie pisze? — badał dalej.

— Nie!... Dlaczego pan o to pyta?

— Bo my z poetami mamy kłopot!... Słyszał pan o Annunziu?

— Naturalnie!... On przecież pochodzi z Galicyi, z Brodów!... Mam go zamiar nawet odwiedzić, wracając...

— Mój dobry panie!... Namów go pan, niech się już raz wybierze tym samolotem do Tokio, a może przecież skręci gdzie kark po drodze!.. Chłopu się całkiem w mózgownicy przewróciło!...

Z Kwirynału poszedłem prosto do Watykanu, w sprawie owego kapelusza dla księdza Okonia...

Miałem widocznie szczęście, zaraz bowiem przy bramie spotkałem członka szwajcarskiej gwardyi.

— A dokąd, *signore?...* — zapytał.

Przedstawiłem mu się i zauważyłem, że zbaraniał, gdy się dowiedział, z kim ma do czyczynienia.

— Chciałbym się widzieć z Ojcem świętym w sprawie kapelusza dla ks. Okonia...

— To pan się źle wybrał!... U nas niema fabryki kapeluszy!... Niech się pan zwróci do którego kapelusznika!

— To wystarczy?

— Najzupełniej!..

Zadowolony, że bodaj tę sprawę udało się tak od ręki załatwić, zatelegrafowałem do Warszawy z prośbą o podanie miary, aby kapelusz nie był ani zaduży, ani zamały, tymczasem zaś wyjechałem do Neapolu.

Byłem zatem w Rzymie i papieża nie widziałem, byłem też i w Neapolu, ale nie umarłem! Jedno i drugie może się stać później!

W miarę, jak się posuwałem ku południowi, przekonałem się, że jest coraz cieplej, a to skutkiem centralnego ogrzewania, zaprowadzonego w całych Włoszech. Komin od pieca znajduje się obok Neapolu i nazywa się Wezuwiusz. Sycylia ma swoje własne instalacye i osobny komin, Etnę. Jest i trzeci, Stromboli, ale się z niego nie kurzy, gdyż jest w naprawie, a murarze tutaj teraz strajkują.

Istnieje projekt, aby ogrzewanie centralne przeprowadzić i do Włoch północnych i zbudować tam także komin. Dotąd nie uczyniono tego z obawy przed Austryakami i dlatego jest tam zimno.

Pomyślałem sobie zaraz, że coś podobnego możnaby zaprowadzić i u nas, a nie odczulibyśmy tak dotkliwie braku węgla. Takich gór, jak Wezuwiusz lub Etna, mamy dość, należy tylko od góry wywiercić dziurę, a z pewnością zaraz się z niej zacznie kurzyć!

Gdyby tak udało się jeszcze zmienić dotychczasowe zwyczaje i zrobić tak, aby słońce świeciło w nocy, a nie w dzień, boć wtedy jest jasno i bez niego się obejdzie, jakie to oszczędności możnaby poczynić na opale i oświetleniu!... Naftę i węgiel możnaby wówczas w jeszcze większej ilości, niż obecnie, wywozić za granicę. Piszę memoryał w tej sprawie i mam go zamiar zaraz po powrocie wręczyć warszawskim fachowcom.

Z Neapolu mam zamiar udać się morzem do Hiszpanii, dokąd król Alfons zaprosił mnie na walki byków. Zaproszeniu nie mogłem odmówić, aby nie wywołać politycznych komplikacyi i zapewne tam pojadę, ale o tem, jak również i o pobycie w Neapolu, w następnym liście, gdyż mi lampa gaśnie.

Bieda to, jeśli się ma knot krótki! Do widzenia zatem, za dwa tygodnie...

Dr. Klapa.

Pleisir Damour.

Kocham cię, choć mi się bronisz
Jak na widok węża,
Ja ci miłość w swaty poszlę,
Miłość co zwycięża!

W płaszcz zaklęty, płaszcz z purpury
Owinę twe ciało,
Wtedy opór nie pomoże,
Stało się już stało!

I będziemy razem żyli
Gdy w nas grom nie palnie —
Jak to pięknie wtedy będzie,
Chociaż — niemoralnie!



Moja Muza.

Ludzie ją przeróżnie sądzą —
Powiem Wam, gdy o to idzie:
Jedni zwą ją ladacznicą
Wyuzdaną w swym bezwstydzie,

Odwracają od niej z wstrętem
Swoje serca i oblicze —
Tych — niech jasny piorun strzeli!
Tego im ze serca życzę!

Lecz sąd sprawiedliwy znaleść
Nie jest rzeczą znów najrzadszą;
Inni bowiem na wyklętą
Już łagodniej nieco patrzą.

Ale gromią moją Muzę
Hipokryci, hipokrytki,
Że się z góry dekoltuje
I odsłania z dołu łydki.

Pobłażania ni współczucia
Dla wyklętej Muzy niema:
Ksiądz z ambony ją pyskuje
I świat rzuca anatema

I zgorszone szepcą sobie
Sąsiadeczki i kumoszki
Że zbyt chętnie dla każdego
Zrzuca gorset i pończoszki!

Niech tam ludzie plotą sobie
Co im ślina pcha do gęby,
Niech ksiądz proboszcz ją potępia,
Niech się miele na otręby!

Moralista niechaj widzi
U niej błędów, wad tysiące,
Niech złorzeczy mama, która
Córki ma dorastające!

Mimo tego — strach pomyśleć!
Kto najbardziej kult jej szerzy?
Tak! niestety!.. to podlotki
No i starzy kawalerzy!

Lecz nakoniec zapytanie?
Jakież imię jej na seryo?
Pobłażliwsi nazywają
Moją Muzę — „Pikanteryą",

Najsurowsi — z rzędu owych,
Co już grzeszyć nie potrafią
Ci piętnują wprost bezwzględnie
Moją Muzę — „Pornografią"!..

Wytłumaczenie sprzeczności.

Mały Jaś wrócił ze szkoły i mówi do ojca:

— Tatusiu! Jak to może być? Ksiądz katecheta mówił nam, że Jonasza połknął wieloryb, a pan profesor zoologii wykładał, że wieloryb ma takie wązkie gardło, iż może łykać tylko śledzie! Który z nich ma racyę?

— Obaj mój synu! Za dawnych czasów, kiedy żył Jonasz, miały wieloryby szerokie gardła, ale za karę, że jeden z nich ośmielił się połknąć świętego męża, zwęził im Pan Bóg gardła. Został im taki niesmak, że dotąd piją gorzką wodę i jedzą śledzie.

— Aha!... Marynowane?... To tak, jak tatuś na drugi dzień po każdem posiedzeniu!...

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Stefana Karczmarskiego



Intermezzo na reducie:

— Panie doktorze! ratuj moją córkę!... Jaki jej stan?

— Poważny i wcale nie beznadziejny!...